

Piotr TOSZ

Opowiadania dla
wrażliwych



Piotr Tosz

*Opowiadania
dla wrażliwych*

NIEBO
BYTOM 2021

SKŁAD ORAZ PROJEKT OKŁADKI

Beata Haba

REDAKCJA I KOREKTA

Beata Haba

WYDAWCA

Niebo

e-mail: niebo@niebo.biz

www.niebo.biz

Copyright © Marcin Haba, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone

WYDANIE PIERWSZE

Spis treści

Delegacja.....	5
Adrian	14
Andrzejek	26
Życiowe wyzwanie	36
Sortownia szczęścia.....	51

Delegacja

W taką pogodę na osiedlu można spotkać wielu ludzi. Wychodzą z mieszkań swych bloków, siadają na ławkach, spacerują i rozmawiają. Wszystko po to, aby wyjść z betonu i jak jaszczurki zażyć trochę lipcowego słońca, którego tego lata Pan Bóg udzielił obficie.

Z lotu ptaka widok osiedla jest jeszcze ciekawszy. Ludzie oblepiają osiedlowe ławki jak malutkie mszyce dorodne warzywo. A gdy tylko zwolni się jakieś miejsce, to można nawet nie doliczyć do pięciu, a już pojawia się przy nim ktoś nowy. Co sprytniejsi zabierają ze sobą koce i rozkładają je gdzieś w ustronnym cieniu. W gęstym ciepłym powietrzu unosi się gwar rozmów, który powabnie szybuje jak nić babiego lata.

- No niech pani spojrzy, Kowalska znów wyszła z dekoltem po pępek. Że tej babie nie wstyd - powiedziała Majchrowska, wskazując na kobietę wchodzącą do samochodu.

- Ano. Ino młodzików gorszy - odparła Rumowska.
- Schlebia jej pani. Za stara jest, żeby gorszyć - w głosie Kawczykowej słysząc było złość.

Siedziały na ławce w trójkę: Majchrowska, Rumowska i Kawczykowa, trzy kobiety o posepnych twarzach i czujnym spojrzeniu, które mimo wpływających lat, wciąż potrafiło wzorowo wychwycić detale z daleka. Pospolicie nazywane „sąsiadki” - bo taka więź ich łączyła - zajmowały ławkę umiejscowioną na centralnym skwerze osiedla. Jeżeli to osiedle miało jakiś środek, to był nim właśnie ten skwer. Ławka ta była dla nich jak żołnierska wieża strażnicza, którą zdobywały już wczesnym ranem, zanim większość mieszkańców osiedla wstała z ciepłych łóżek.

Z bloku, w którym zamieszkiwały sąsiadki, wyszła kobieta w średnim wieku, a wraz z nią dwójka małych dzieci, dziewczynka i chłopczyk, które posłusznie trzymały kobietę za ręce. Ubrana była w jednokolorową sukienkę w kolorze dorodnej brzoskwini. To, co przykuwało uwagę to jej twarz, na której dało się widzieć wymalowany bolesny smutek. Ten szczegół nie umknął też uwadze sąsiadek.

- Co pani taka przybita, pani Kraś? - zagadnęła Rumowska.

Na widok sąsiadek twarz kobiety znacznie złagodniała i teraz przybrała wyraz zniechęcenia.

- Życ się nie chce - odpowiedziała kobieta. - Czasem tak życie doskwiera.

- Niech pani poczeka, jak będzie w naszym wieku. Wtedy to dopiero życie doskwiera - rzekła Majchrowska.

- Jacuś znów chory i znów angina. Idziemy do lekarza.

Jacuś zrobił kwaśną minę i szarpnął niecierpliwie mamy rękę.

- Idziemy, mama?

- Jacek, pewnie za dużo zimnych napojów pijesz - powiedziała Rumowska.

- Nie piję - odpowiedział z małym wyrzutem.

- A Marcysia też chora? - Majchrowska wskazała na dziewczynkę.

- Nie. Idzie z nami, bo nie ma z kim zostać - oznajmiła Krasiowa.

Jacek znów szarpnął mamy rękę.

- Zostaw pani Marcysię z nami. Mniejszy kłopot będzie.

Choć nie chciała zostawiać dziecka z sąsiadkami, ta propozycja wydała jej się mocno kusząca i Krasiowa poczuła jakiś rodzaj ulgi.

- A chętnie. Dziękuję - odpowiedziała do sąsiadek i dodała do Marcysi. - Bądź grzeczna tutaj z ciociami.

- Mhm - zamruczała Marcysia.

Lekko udawany uśmiech zawitał na twarzy Krasiowej, która razem z Jacusiem zaczęła iść w stronę przychodni lekarskiej. Sąsiadki odprowadziły ją wzrokiem, a gdy ta zniknęła za kolejnym blokiem osiedla, powiedziały do dziecka:

- Co Marcysiu, z tatą nie chciałaś zostać w domu?
- zapytała Kawczykowa.

Dziewczynka uśmiechała się do sąsiadek, obdarowując je setką szczerych, dziecięcych uśmiechów.

- Tata śpi - odpowiedziała z dozą wstydlivości.

- A czemu tata w dzień śpi? - zaciekaWiła się Rumowska.

Marcysia wzruszyła ramionami i rzekła:

- Odpoczywa przed delegacją.

- O, na delegację się wybiera? - Majchrowska podchwyciła temat.

- Aha - dziewczynka pokiwała głową.

- A daleko wyjeżdża?

- Nie wiem.

- Idź sobie do piaskownicy, dziecko - zaproponowała Rumowska.

Marcysia przytaknęła ruchem głowy i pobiegła do piaskownicy położonej kilka metrów od ławki sąsiadek.

Majchrowska błędziła końcem swej krótkiej laski po płytce chodnika. Spojrzała na Kawczykową i Rumowską i rzekła:

- Patrzcie, jak dziecko kłamać nauczyli. Delegacja.

- No, wstyd taki przykład dziecku dawać.

- Wszyscy i tak wiedzą, że do czubków na Sienkiewicza idzie. Taka to delegacja.

- No wie pani, szpital jest szpital - odpowiedziała Rumowska.

Majchrowska spojrzała koso na Rumowską.

- A daj pani spokój - syknęła Majchrowska. - Choć może dobrze, niech idzie. Bo ja to się boję, że on nas kiedyś w tym bloku wysadzi. Z wariatami nie ma żartów.

- Myśli pani, że może wysadzić? - zdziwiła się Kawczykowa.

- A pewnie. W piwnicy jest gaz. A ja go widziałam ostatnio w piwnicy.

- Jezus Maria - zmartwiła się Kawczykowa. - Ludzie to naprawdę są paskudni.

- A no są - przytaknęła Majchrowska.

Rumowska skrzywiła się, jakby coś z nią było nie w porządku. Rozejrzała się dookoła. Na osiedlu było coraz więcej ludzi. Część z nich przechodziła tylko w drodze z pracy czy ze szkoły. Niektórzy zatrzymywali się na ławkach, inni spieszyli do domów na obiad.

- Czasem tak jest, że człowieka choroba dotknie - rzekła Rumowska.

Majchrowska bardziej nerwowo podrapała łaską o chodnik.

- Choroba chorobą, ale on nie powinien między ludźmi w bloku mieszkać. To niebezpiecznie. Tu dzieci są. Kto wie, kiedy mu się jakaś klapka w głowie przestawi i będzie nas z siekierą ganiać, jak ten z telewizji wczoraj - wzburzyła się Majchrowska.

Czas mijał sąsiadkom na rozmowie. Godzinę później pod blok sąsiadek podjechał sportowy samochód, z którego wyszedł syn Rumowskiej. Ta pożegnała się z sąsiadkami i udała się z synem do domu.

- Ten syn Rumowskiej to też jakiś podejrzany - powiedziała Majchrowska.

- Że niby co? - zaciekała się Kawczykowa.

- No, że pieprznęty jest.

- Myśli pani? - zapytała.

- Nie wiem, może dlatego tak broniła tego Krasia. A syn taki jakiś spokojny jest, za spokojny.

Za bloku wyłoniła się postać Krasiewej. Szła z Jacusiem trzymającym ją za rękę. W drugiej ręce dzierżyła torbę z zakupami. Podeszła do sąsiadek, podziękowała za opiekę nad Marcysią i wróciła z dziećmi do domu.

W domu panowała cisza. Krasiewa otworzyła drzwi kluczem i weszła do środka. Puściła szybkie spojrzenie do dużego pokoju, upewniając się, że jej mąż jest w domu. Siedział w fotelu tyłem do wejścia, tak że z przedpokoju można było zobaczyć tylko czubek jego głowy. Jego oczy były zamknięte i nie otworzyły się także na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Krasiewa podeszła do fotela i wyciągając rękę, pogłaskała męża po głowie.

- Janek, już piętnasta. Powinieneś wstać - rzekła.

Gałki oczne poruszyły się nieznacznie pod powiekami. Wpływ działania silnych środków przeciwpowietrznych powodował u niego senność. Uniósł powoli powieki, a czynność ta sprawiała mu trud. Oczy piekły, jak posypane piaskiem, a organizm wołał o sen. Najchętniej by zasnął na wiele długich godzin.

- Spakowałeś pidżamę? - Krasiowa wskazała na podróżną torbę, leżącą w rogu pokoju.

Wtedy dopiero spojrział na nią. Uniósł tępe spojrzenie i popatrzył jej w oczy spod powiek uniesionych tylko do połowy.

- Spakowałem - odpowiedział z trudem w głosie.

Kobieta nachyliła się nad mężem i pocałowała go w czoło. Po tym wyszła do kuchni, wołając po drodze dzieci. Janek opadł z powrotem na oparcie fotela i zamknął oczy. Po paru sekundach z powrotem zanurzył się w sen.

Obudził go czyjś dotyk. Powoli uniósł powieki i zobaczył Marcysię, która trzymała jego rękę bezwładnie spoczywającą na krawędzi fotela.

- Tata, znowu śpisz - powiedziała.

Spojrzał na nią i zrobiło mu się smutno.

- Tata - znów zaczęła Marcysia. - A to prawda, że chcesz wysadzić nasz blok?

Na te słowa poczuł lekkie otrzeźwienie.

- Kto ci takie głupoty naopowiadał? - powoli zapytał.

- Bo pani Majchrowska mówiła, że... - zaczęła się tłumaczyć.

- Zawołaj mamę - rozkazał.

Po chwili do pokoju weszła Krasiowa. Podeszła do męża i usiadła na pufie tuż przy nim. Jej twarz wyrażała zatroskanie.

- Lidka, musimy powiedzieć dzieciom.

Twarc żony zmieniła się na jeszcze smutniejszą. Złapała Janka rękę i mocno ścisnęła.

- Na pewno chcesz tego? - zapytała łamiącym się głosem.

- Na pewno. Im wcześniej się dowiedzą, tym lepiej - powiedział. - Im wcześniej, tym lepiej - powtórzył cicho i znów zamknął powieki, do których zaczął napływać sen.

Późne popołudnie przyniosło nad osiedle trochę chmur. Teraz wszyscy bez rywalizacji o miejsce do siedzenia mogli mieć swój kojący kawałek cienia. Kawczykowa spojrzała wysoko w niebo. Przypatrzyła się kłębiastym jak liście kapusty chmurom, po których jak mały ślimak leniwie pełzał samolot.

- Będzie deszcz - rzekła po chwili.

- Może będzie. Kto to wie - powiedziała Majchrowska, której oczy zatrzymały się nieruchomo, jak u polującego drapieżnika. - Patrz pani, Krasie idą.

Z klatki schodowej bloku sąsiadek wybiegła skocznym krokiem Marcysia. Zaraz za nią wyszedł Jacuś i jego mama. Na końcu flegmatycznym krokiem szedł Janek, trzymając w ręce torbę podrózną. Na chodniku zrównali się wszyscy czworo.

- Witam państwa. Gdzie to państwo idą? - zaciekawiała się Kawczykowa, gdy Krasio wie przechodzili obok ławki sąsiadek.

- Odprowadzamy męża - szybko odpowiedziała Krasio wie.

- Na delegację? - Majchrowska zapytała nieprzyjemnym tonem.

- Na delegację - potwierdziła Krasio wie.

Janek przebiegł błędnym wzrokiem po twarzach sąsiadek. W głowie skojarzyło mu się, że ich oczy są niczym chciwe piranie, które kęsa i obdzierają go z normalności. A on jak Prometeusz przywiązany do skał, wystawiony był na to cierpienie. Zrobiło mu się przykro, że są tacy ludzie, którzy paroma słowami potrafią odebrać człowiekowi człowieczeństwo za to, że po prostu człowiek jest.

- Panie wybaczą, spieszmy się na samolot - zupełnie naturalnie powiedział Janek i spacerowym krokiem odszedł wraz z rodziną.

Adrian

Czwartkowe popołudnia Adrian spędzał z ciotką. Opiekowała się nim w czasie, gdy jego tata jechał na cotygodniowe zebrania do firmy. Były to chwile, gdy zarówno Adrian, jak i ciotka dawali sobie trochę czasu wolnego. Ona oglądała w telewizji swe ulubione seriale, a on oddawał się temu, co lubił najbardziej - marzeniom. Siadał wtedy po turecku na tapczanie lub na podłodze, zamykał oczy i marzył.

Nigdy nikomu nie mówił, o czym marzy, a zapytany o to, czemu tak siedzi cicho w bezruchu, rumienił się tylko i nie odpowiadał. Krainę swych marzeń traktował jako swój prywatny świat, do którego za nic nie chciał nikogo wpuścić. Zanurzał się w tę wyimaginowaną rzeczywistość i pływał w niej jak wyborowy pływak. Był to stan, jaki odczuwał niemal w całym ciele, a jego powieki i wargi często poruszały się lekko, gdy oddawał się marzeniom.

Jak na siedmiolatka był nad wyraz spokojny. Mało mówił i mało wyrażał z tego, co w nim siedziało. Pamiętał zwrot, jakiego używali dorośli, określając jego spokojne usposobienie. Mówili wtedy o autystycznej postawie, która kojarzyła mu się bardziej technicznie z autami, niż z jakimkolwiek stanem ducha.

- Cześć Adrian. Słyszałam, że we wrześniu idziesz do szkoły - przywitała go ciocia.

- Tak, idę - powiedział Adrian.

Uścisnęła go, całując przy tym w czoło.

- Cieszysz się z tego? - zapytała.

- Nie wiem, ciociu. Tata mówił, że to szkoła dla wyjątkowych dzieci, więc chyba będzie dobrze.

- Na pewno - odparła, po czym usiadła w fotelu i załączyła telewizor.

Chłopiec udał się na łóżko. Swym zwyczajem usiadł po turecku i zamknął oczy. Znowu żwawo poruszał się w swej krainie. W tle słychać było jakieś dziecięce okrzyki dochodzące zza okna. Nie przeszkadzało mu to wcale, a wręcz pomagało w marzeniach. Używał krzyków i głosów dochodzących z zewnątrz jako głosów postaci, które tworzył w swej wyobraźni.

- Adrian. Możesz zamknąć okno? Te dzieciaki dziś strasznie hałasują. Telewizora nie słyszę - rzekła ciotka.

Otworzył oczy i rozejrzał się błędnie po pokoju jak ktoś wyrwany właśnie ze snu. Wstał powoli. Za oknem zobaczył grupę dzieciaków w różnym wieku grających w piłkę nożną na trawniku przed blokiem.

Był to pierwszy raz, gdy widział grające dzieci na tym niewielkim skwerze.

Ten fakt bardzo go zaciekał, na tyle, że zagapił się na grających, zapominając zupełnie o wszystkim.

- No zamknij to okno - dopominała się ciotka.

Sięgnął ręką do okiennej klamki i szybkim ruchem zamknął szklane skrzydło, sprawiając, że w domu zapanała cisza przerywana jedynie przez głosy z telewizora. Usiadł na krześle przed oknem i bacznie obserwował grających w piłkę nożną. Był tym tak pochłonięty, że nie usłyszał nawet tego, gdy ojciec wrócił ze spotkań firmowych. Siedział w bezruchu i z na pół otwartą buzią gapił się na grające dzieci.

- Nie myśl tyle, bo myśliwym zostaniesz - rzekł tata, klepiąc syna w ramię.

Adrian ocknął się na moment i spojrzał na uśmiechniętą twarz ojca.

- Tata, ja też chciałbym tak grać - wskazał palcem za okno.

Ojciec spojrzał na trawnik za oknem, gdzie dzieci ganiały za piłką.

- Rozumiem - powiedział, a jego twarz przybrała poważniejszą minę. - W tej nowej szkole pograsz sobie pewnie nie raz.

Chłopiec wrócił wzrokiem na grające w piłkę dzieci, które z werwą biegały za wysłużoną futbolówką. Pogoda tego popołudnia była wyborna. Słońce oświetlało jedną część boiska. Druga część schowana była w cieniu, jaki rzucał budynek sąsiedniego bloku.

Przy oknie spędził całe popołudnie i wieczór do czasu, gdy mali gracze skończyli grę. Był tak pełen emocji, że dopiero w tamtej chwili odczuł długo przetrzymywaną potrzebę fizjologiczną. Zerwał się do biegu w stronę ubikacji. W głowie huczało mu od nadmiaru emocji, jakie wywierał na niego obejrzany przed chwilą mecz. W przeszłości widział mecze piłki nożnej w telewizji, które oglądał jego tata, lecz żaden z nich nie dał się porównać z tym, który widział na trawniku za oknem. Te z telewizji traktował jak coś zupełnie odległego od tego, co miał na co dzień i nie interesowały go za bardzo. Ten zza okna natomiast pokazał mu grę w piłkę z zupełnie innej perspektywy. Zobaczył w tym zdrową rywalizację, zmierzenie się sił i umiejętności takich małych chłopców jak on. W środku niego coś jakby ożyło, jakaś cząstka umysłu odpowiedzialna za zdrowe współzawodnictwo teraz rozkwitła jak świeży, młody kwiat.

Późnym wieczorem, leżąc w łóżku, rozmyślał o tym, co widział za oknem. Zamknął powieki, pod którymi odtwarzał widoki gry zapamiętane podczas dnia. Widział ich wszystkich, chudego i wysokiego rudzielca, małego bramkarza czy niezwykle zwinnego chłopaka w dżokejce, który strzelił najwięcej goli. Tej nocy zasnął nad ranem, gdy zaczynało już świtać.

Podczas minionej nocy nasunęło mu się w głowie kilka pytań, z których najbardziej dominujące postanowił zadać tacie następnego dnia rano.

- Tata?

- Tak, synu? - zapytał ojciec, unosząc wzrok znad monitora komputera.

- Czemu ja nie wychodzę z domu jak inne chłopaki?

Na to zapytanie w głowie taty zrodziła się obawa. Adrian stawał się coraz większy i zadawał coraz więcej pytań. Nie mógł go zbywać, a z drugiej strony nie wiedział już jak odpowiedzi ubierać w ładne słowa, odpowiednie dla wieku syna.

- Jesteś wyjątkowym chłopcem - odparł. - Na świecie jest wielu zwykłych chłopców, którzy ganiają za piłką. Ale czasem zdarza się, że ktoś jest wyjątkowy, kto potrzebuje specjalnej uwagi, specjalnego domu i specjalnej piłki do gry.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Adriana. Zastanawiał się nad tym aż do popołudnia. Miał wiele czasu na myślenie, podczas gdy tata był zajęty pracą przy komputerze. Próbował porównać siebie do innych dzieci i znaleźć jakąś różnicę, która oznaczałaby wyjątkowość, o której mówił mu ojciec. W myślach porównywał ze znajomymi mu dziećmi swe ubrania, anatomię, sposób mówienia, czy nawet znajomość bajek w telewizji. Nic jednak nie pozwalało mu na uchwycenie tej różnicy, która czyniła go wyjątkowym.

Z zamyślenia wyrwał go głos, który doszedł jego uszu zza szeroko otwartego okna.

- Oriony grają pod słońce! - zawołał głos.

Dynamicznie zeskoczył z wersalki i podbiegł do okna. Zobaczył tam tę samą grupkę dzieci, która gra-

ła w piłkę nożną poprzedniego dnia. Był tam i chudy rudzielec, i malutki bramkarz, i chłopak w dżokejce, jak i cała reszta drużyny. Na twarzy Adriana znów malowało się niemałe zaciekawienie. Zobaczył, jak dzieci zrywały małe gałązki z pobliskich krzaków. Następnie jeden z chłopców odmierzył stopami odpowiednią długość i wbił patyczki w ziemię, oznaczając tak malutkie słupki bramek.

Mecz zaczął się. Adrian pobiegł tylko na kilka sekund do swego pokoju, złapał długopis oraz zeszyt, w którym zazwyczaj coś malował, i pobiegł z powrotem do okna. Z zaciekawieniem oglądał zmagania grających chłopaków. Przy każdej strzelonej bramce stawiał kreskę po jednej ze stron rozłożonego zeszytu, zapisując w ten sposób wynik.

Tamtego dnia oglądał mecz przy otwartym oknie, co dawało mu możliwość słyszenia okrzyków z boiska. Dzięki temu poznał imiona i przezwiska piłkarzy.

- Bodi! Podaj!
- Dawaj Luki, dawaj!
- Faul! Sadok faulował!

Dowiedział się, że mały bramkarz miał ksywkę Bodi, a zawodnik z rudą czupryną, który od tamtego spotkania stał się jego ulubieńcem, nazywał się Śliwa. Zauważył też, że i drużyny mają swoje nazwy. Ta, w której grał rudzielec Śliwa, nazywała się „Oriony”. Przeciwny zespół nazywała się „Pioruny”.

Na kartce przybyło wiele kresek. Adrian był bardzo skupiony tak, aby nie umknął mu żaden gol. Przy

kolejnej strzelonej bramce z okna bloku po prawej rozległ się donośny głos:

- Wojtek! Tomek! Do domu! - zawołała czyjaś mama.

Mecz się zakończył. Z boiska dobiegło jeszcze kilka okrzyków zawodników obydwu drużyn:

- Pioruny to wapniaki! - śmiał się ktoś.

- Oriony to cieniasy! - przekrzykiwał się ktoś inny.

Po zakończonej grze Adrian pobiegł do ojca. Trzymając w ręku swój zeszyt, powiedział przez wciąż rozemocjonowane gardło:

- Tata, policzysz mi wynik?

Ojciec spojrział na dwie kartki zeszytu, na których widniało wiele kresek. Wziął długopis i zakreślając kreski po pięć, policzył wynik.

- Na tej kartce jest piętnaście, na drugiej siedemnaście. Ci z drugiej kartki wygrali.

Na tę wiadomość chłopiec aż podskoczył z radości.

- To kartka Orionów. Oriony wygrały! - zawołał ucieszony i zaczął biegać dookoła biurka.

Przez następne sierpniowe dni uważnie śledził mecze Orionów i Piorunów. Tata przygotował mu specjalne podwyższone krzesło, dzięki któremu Adrian nie musiał stać przy oknie, lecz mógł siedzieć i oglądać grę. Jego marzeniem było mieć takie krzesło na balkonie, lecz ojciec nie zgodził się na to, aby syn przebywał na balkonie sam.

Z dnia na dzień przybywało w zeszycie zapisanych kreskami kartek. Chłopiec poznał wszystkich graczy Piorunów i Orionów. Czasem pojawił się ktoś nowy,

a czasem brakowało kogoś, lecz zawsze wypatrywał tego jednego, swego cichego bohatera, rudowłosego Śliwę. To przy golach strzelonych przez niego cieszył się najbardziej. Śliwa miał w sobie coś, co czyniło z niego niekwestionowanego przywódcę Orionów. Wyglądał też na najsilniejszego i potrafił kopnąć piłkę tak mocno, że bramkarz pomimo próby obrony przewracał się z futbolówką do bramki.

- Gol! Tata! Śliwa strzelił z przewrotki! - zawołał do pokoju, w którym pracował jego ojciec.

- Bravo! - odpowiedział tata.

Ojciec zauważył, jak codzienne mecze przed oknami ich bloku zmieniają jego syna. Rozpały w nim jakąś niewidzialną iskierkę życia, dzięki której wyrażał on wiele z przeżywanych emocji. W chwilach euforii Adriana podczas oglądanej gry ojciec wyobrażał sobie, że jego syn jest taki, jak jego rówieśnicy, rozkrzyczany, energiczny i krzepki. Cieszył się za każdym razem, gdy Adrian pełen wigoru wbiegał po meczu do pokoju i prosił go o policzenie goli.

- Tata, dzisiaj Sadok trafił samobóję - emocjonował się po kolejnym meczu. - A Śliwa strzelał karnego.

Ojciec sięgnął ręką do szuflady biurka i wyciągnął małe zawiniątko.

- To dla ciebie. Jesteś prawdziwym kibicem.

Chłopiec pospiesznie rozwinął papier, jakim owinięty był prezent i zobaczył piękną sportową koszulkę piłkarza z numerem dziesięć.

- Dzięki, tata! - krzyknął, próbując objąć szyję taty.

W czwartkowe popołudnie ojciec jak zwykle wyjechał na zebrania do firmy, zostawiając syna w domu z ciotką. Zbliżał się czas kolejnego meczu i Adrian biegał po pokoju, nie mogąc się doczekać rozpoczęcia spotkania. Ciotka coraz mniej rozpoznawała w nim spokojnego i skupionego chłopaka, jakim był kiedyś. Teraz miała przed sobą rozkrzyczane i pełne energii dziecko.

- Ciocia, mam nową koszulkę! - zawołał do niej.

- No, bomba - ucieszyła się razem z nim, po czym usiadła na fotelu i włączyła telewizor.

Chłopak był już przy oknie. Rozejrzał się po trawniku i w myślach sprawdził listę obecności. Byli wszyscy, w tym był jego ulubiony Śliwa.

Mecz zaczął się, a Adrian na jednej z ostatnich kartek zeszytu zaznaczał kolejne gole. Czasem podrywał się z krzeselka do okna, gdy Oriony atakowały bramkę Piorunów.

Podczas jednej z takich akcji po kilku ładnych krzyżowych podaniach piłka podskoczyła w górę niedaleko bramki Piorunów. Na pełnej prędkości wyskoczył do niej Śliwa, który potężnym kopnięciem z woleja sprawił, że piłka poszybowała tak daleko i wysoko, jak nigdy do tej pory na meczu. Adrian także śledził ją wzrokiem, gdyż szybowała ona wprost na niego.

Ciotka przełączyła kanał telewizyjny po zakończeniu kolejnego odcinka ulubionego serialu. Na innym kanale zaczynał się nowy odcinek kolejnego serialu. Ziewnęła szeroko, po czym pociągnęła łyk herbaty

z kubka. Nie zdawała sobie zupełnie sprawy z tego, co dzieje się w pokoju, w którym chłopiec oglądał mecz piłkarski. Usłyszała tylko ciche stłumione uderzenie, zupełnie jakby u sąsiadów piętro wyżej ktoś trzasnęła przy zamykaniu wersalki.

Adrian śledził lot piłki do samego końca. Futbolówka odbiła się głucho od ściany ich balkonu i spadła na balkonową podłogę. W środku chłopca działo się coś niebezpiecznego. Poprzez nagły napływ olbrzymich emocji poczuł, jak żołądek zaciska się mocno, jak ściśnięta pięść. Nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie stało.

Zeskoczył z krzesła i podbiegł do drzwi balkonu. Już miał łapać za klamkę, gdy w głowie usłyszał głos taty, który mówił mu o tym, że nie może wychodzić samemu na balkon. Przez ułamek chwili walczył z głosem taty. Myśl o piłce była jednak o wiele silniejsza. Nacisnął klamkę drzwi balkonu i otworzył je na oścież.

Tuż przed nim, niemal u jego stóp leżała wysłużona piłka. Nie mógł uwierzyć w to, że to dzieje się naprawdę. Wszedł na balkon i złapał ją w dłonie. Miał ją teraz w rękach, słynną piłkę, którą Śliwa strzelił tak wiele goli. Była dla niego jak namacalna legenda. Przejechał palcami po łąkach futbolówki. Spoczone od emocji palce wodziły po skórzanej powierzchni, zostawiając mokre paseczki potu. Wlepiął w nią wzrok, a w środku czuł ogromną radość. Z tego stanu wyrwał go czyjś krzyk:

- Ty! Dawaj piłkę!

Podszedł do balkonowej balustrady i zobaczył przed sobą na dole całą drużynę Orionów i Piorunów. Patrzyli teraz na niego. Był tak radosny, że miał ochotę krzyczeć do nich ze szczęścia. Podniósł w górę piłkę i uśmiechnął się szeroko. Znał ich wszystkich, poznawał każdą twarz. Miał ich wszystkie gole skrupulatnie zapisane w zeszycie. Stał tak i uśmiechał się do nich, prężąc przed siebie swą pierś w koszulce z numerem dziesięć.

- Ja go znam - zawołał czyjś głos z dołu. - To taki debil. Tata mówił, że tam mieszka debil.

Inne dzieci zaczęły wołać głośno do góry.

- Ty, debil! Dawaj piłkę!

- Czubek! Rzucaj piłkę, bo dostaniesz wpierdol!

- Eee, złamasie. Rzucaj!

- Debil! Debil! Debil! - wołali niektórzy.

Adrian poczuł jak coś się w nim łamie. Niewidzialny most, który tak długo budował, i w który włożył niespożyty trud, teraz zaczynał trzeszczeć. Ręce, w których trzymał piłkę, stawały się wiotkie jak patyczki z gąbki. Most trząsał się w posadach i pękał jak kolorowy balon. Jego euforia i radość prysnęły niczym mydlana bańka, zostawiając podłgą gorycz i żal. Nie rozumiał tego, co się dzieje. Znał ich, byli jego przyjaciółmi. Spojrzał raz jeszcze na dół i zobaczył twarz Śliwy, jego ulubionego Śliwy, który teraz jak nakręcona katarynka wołał do niego „Debil! Debil! Debil!”.

Uśmiech zsunął się z jego twarzy, pozostawiając odcisk psychicznego bólu. Rozgoryczenie i smutek zaczęły wypływać z niego, a twarz pokryła się łzami.

Wtedy, stojąc na tym balkonie, zauważył to, co tak usilnie starał się znaleźć, porównując się do innych. Próbował odpowiedzieć sobie na to, co sprawiało, że jest wyjątkowym, jak mówił mu tata. Teraz już wiedział, że nie jest to ani ubranie, ani anatomia, ani znajomość bajek. Poczul ból zranienia mocniej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Osunął się na podłogę balkonu, zwinął się w kłębek i gorzko płakał.

Ciotka znalazła go dopiero po kilku minutach, gdy poczuła w mieszkaniu przeciąg. Leżał cały czas w tej samej pozycji i bez opamiętania płakał. Podeszła do niego i uniosła go z podłogi. Wzięła na ręce i wprowadziła do pokoju.

- Co się stało?! - zapytała zmartwiona.

- Ja nie chcę być już wyjątkowy - wyszeptał i jeszcze mocniej się rozplakał.

Andrzejek

Było ich dwóch. Szli powoli jednym z chodników niewielkiego osiedla mieszkaniowego. Jeden z nich, wysoki, muskularny i z wieloma tatuażami na obydwu rękach, nieznacznie gubił krok. Drugi, nieco niższy od pierwszego, szedł równo i co kilka metrów nonszalancko splotał śliną na chodnik. Oboje trzymali w dłoniach puszki z piwem.

- Patrz pani, jakie gnoje - rzekła starsza pani siedząca na ławce przed blokiem.

- No. Jakby mój Grzegorz tak się stoczył, to bym go na zbity pysk, wie pani - odpowiedziała jej koleżanka.

Muskularny mężczyzna zatrzymał się. Pociągnął z puszki resztkę piwa, po czym zgniótł puszkę w ręce i rzucił za siebie. Jego wzrok mętny i szklisty wypatrywał czegoś w oddali. Przetarł otwartą dłonią czoło, na którym jak wypolerowane perły lśniły krople potu.

Drugi mężczyzna także się zatrzymał. Spojrzał za siebie na swego kompana i zawołał:

- Idziesz?!

- Paliwa nie ma - odparł muskularny mężczyzna.

Twarz drugiego mężczyzny zaszła dziwnym grymasem, podobnym do tych, jakie robią ludzie, gdy ktoś zaświeci im w twarz latarką w ciemnym pomieszczeniu. Uniósł swoją puszkę piwa w górę i poruszał nią w lewo i w prawo.

- U mnie też sucho.

Oboje podeszli do pobliskiej ławki i usiedli. Muskularny mężczyzna ubrany był w białą boksterską koszulkę i krótkie dresowe spodenki. Z tatuażowych wzorów zdobiących jego ręce najbardziej dostojnie prezentował się wąż boa, który zaczynał się na zewnętrznej stronie dłoni, a kończył na szyi tuż przy uchu.

- Jestem pusty, Zbychu - rzekł drugi mężczyzna, wyciągając dłonie z kieszeni.

- Ja mam złoty czterdzieści dwa - Zbychu policzył monety na swej dłoni.

- No to lipnie.

- Lipnie czy nie, trzeba będzie dozbierać. Co myślisz, Rafi? - zapytał i zaczął rozglądać się na boki.

Rafi pokręcił przecząco głową. Podrapał się w czubek głowy i rzekł:

- Poczekaj tu. Zaraz przyjdę.

Zanim tamten zdążył zapytać, Rafi już odszedł w stronę najbliższej klatki schodowej.

Lato tego roku było bardzo ciepłe. Na czole Zbycha na powrót pojawiły się potowe perły. Odprowadził kompana wzrokiem, a gdy tamten zniknął z pola

widzenia, położył się na ławce na plecach i zamknął oczy.

Rafi stanął przy domofonie i przeciągnął palcem po kilku przyciskach mieszkań ostatniego piętra. Gdy zaczęły rozbrzmiewać coraz to nowe głosy „Halo”, rzekł głośno:

- To ja. Otwórz.

Zaraz po tym usłyszał ciche brzęczenie elektrycznego zamka od drzwi. Wszedł do klatki schodowej i udał się do pierwszych drzwi oznaczonych numerem jeden. Dwukrotnie nacisnął przycisk dzwonka. Rozległo się szczekanie jakiegoś psa, a zaraz po tym drzwi uchyliły się na kilkanaście centymetrów. W powstałej szparze mężczyzna dostrzegł kawałek twarzy starca z siwą brodą. Tuż poniżej widział też pysk rozszczonego rottweilera, który łapami próbował rozszerzyć szparę w drzwiach.

- Słucham - rzekł starzec.

- Zbieram na Andrzejka z porażeniem mózgowym - powiedział Rafi.

Starzec pokręcił tylko głową na boki i bez słowa zamknął drzwi.

- Ciekawe, kto miał to porażenie mózgowe, Andrzejek czy ty, durniu - pomyślał starzec.

Rafi podszedł do drzwi sąsiednich i także zadzwonił dwukrotnie. Po chwili dało się słyszeć ciche kroki i dźwięk odsłanianego wizjera, jednak drzwi się nie otworzyły. Stał tak dobrą minutę i gapił się w oczko wizjera. Był przekonany, że po drugiej stronie wizjera

ktoś go obserwuje. Wreszcie pstryknął w palce w geście rezygnacji i podszedł do trzecich drzwi. Tym razem zadzwonił dzwonkiem aż cztery razy.

Z mieszkania dobiegły go kroki, czy raczej szuranie kapci o podłogę, jakby ktoś bardzo zmęczony włókł ociężałe nogami. Usłyszał dwa zwolnienia zasuwy, po czym drzwi otworzyły się szeroko. Przed nim pojawił się niski mężczyzna w wieku lat około siedemdziesięciu. Miał krótko ścięte siwe włosy i spokojną twarz, na której w tamtej chwili zarysował się wyraz zaciekawienia.

- Zbieram na Andrzejka z porażeniem mózgowym - od razu odezwał się Rafi.

Starszy mężczyzna wciągnął powoli powietrze, w którym wyczuł zapach alkoholu dochodzący od Ráfiego. Jeszcze bardziej zaciekawiał się niespodziewanym gościem.

- Chodź pan - kiwnął głową w głąb mieszkania w geście zaproszenia.

Rafi poczuł się zdezorientowany, lecz tylko na moment. Rzucił nieufne spojrzenie w głąb klatki schodowej, upewniające go, że nikt go nie widzi, po czym wszedł do środka za mężczyzną.

W mieszkaniu pachniało jakimś kwiatowym zapachem. Rafi rozejrzał się po pokoju, w którym się znajdował. Przebiegł wzrokiem po wersalce, starodawnej meblościance i niedużej komodzie. Pilnie oglądał każdy element pokoju w poszukiwaniu czegoś cennego. Nie wypatrzył jednak nic. Na środku pokoju stał duży

stół, na którego blacie główne miejsce zajmował wazon z kolorowymi kwiatami.

- Proszę spocząć - mężczyzna wskazał fotel.

Gość rozłożył się na bufiastym fotelu. Był to mebel z rodzaju tych, co siadając, człowiek przez moment ma wrażenie, że zapada się gdzieś. Siadając, Rafi uczył odrętwienie w członkach spowodowane wielodniowym działaniem alkoholu na organizm.

Mężczyzna usiadł na wersalce niedaleko fotela. Przyglądał się gościowi w sposób serdeczny, jakby był on kimś z dalekiej rodziny, kto po wielu latach właśnie go odwiedził.

- Proszę mi powiedzieć coś o Andrzejku - powiedział starszy mężczyzna.

Rafi kiwnął głową. Spojrzał daleko za okno i skrzywił się nieznacznie, sprawiając tym wrażenie, jakoby mężczyzna tym zapytaniem obudził w nim niechciane wspomnienia.

- No wie pan, nie jest łatwo - zaczął mówić. - Leki kosztują, opieka też. Andrzejek bardzo cierpi.

Starszy mężczyzna przytaknął głową. Założył nogę na nogę i zapytał:

- Jak pan myśli, jest jakaś szansa na uleczenie?

- Dwadzieścia tysięcy złotych - odpowiedział bez zastanowienia. - Tyle kosztuje operacja, ale każdy nawet najmniejszy dar jest ważny.

Na te słowa mężczyzna zastanowił się. Myślał intensywnie, a jego wargi nieznacznie poruszały się niemo, jakby przeliczał jakieś wartości. Rafi zauważył

to i zainteresował się nim. Oczy mężczyzny zamknęły się, lecz wargi ciągle pracowały.

- Co pan liczy? - zapytał Rafi.

Oczy mężczyzny otworzyły się.

- Pomodliłem się właśnie. Modli się pan czasem?

- Ja nie - odpowiedział, a po chwili dodał - ale mam kolegę, którego matka robi to co dzień i to wiele razy.

- Rozumiem.

- Za Andrzejka się pan modlił? - zapytał zaciekawiony.

- Nie.

- A więc pewnie za mnie.

- Też nie.

- No to najpewniej za siebie.

- Nie - mężczyzna pokręcił przecząco głową. - Chciałem dać panu pięćdziesiąt złotych na Andrzejka i modliłem się o to, aby pan dobrze spożytkował te pieniądze.

Oczy Rafiego zabłyszczały chytrze, a twarz zaczęła mu się uśmiechać. Opamiętał się na czas i z powrotem przybrał poważną minę.

- Andrzejek się ucieszy, mówię panu.

W pomieszczeniu zapach kwiatów mieszał się z wonią alkoholową. Starszy mężczyzna wstał z wersalki i podszedł do uchylonego okna. Otworzył je szerzej i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył młodego mężczyznę śpiącego na ławce.

- Wie pan, będę modlił się za Andrzejka - powiedział, odchodząc od okna. - Modlitwa jest bardzo ważna.

- To prawda, co pan mówi - odparł Rafi. - Bo ta mama kolegi to właśnie modli się za zdrowie tego kolegi. On choruje na raka.

- Rozumiem. Ja też kiedyś chorowałem na raka. I wie pan co, ludzie się za mnie modlili, a lekarze nie widzieli szansy. No i patrz pan, dziś stoję tu przed panem zdrowy.

- Tak, modlitwa jest ważna - przytaknął Rafi, choć nie widział w swej wypowiedzi sensu.

- Oczywiście. A ludzie często nie rozumieją nawet znaczenia modlitwy. Myślą, że to jakieś słowne zaklęcia. A tu chodzi o to, aby Bogu pokazać, że komuś zależy, że ktoś prosi o pomoc. Bóg sam mógłby bardzo wiele, ale po co, gdy ludzie nie wykazują inicjatywy. Na siłę? A skąd.

Starszy mężczyzna podszedł do swojego gościa.

- Tutaj jest pięćdziesiąt złotych - rzekł, sięgając do kieszeni spodni.

Podał banknot Rafiemu, który na ten widok aż podskoczył w fotelu. Zaraz potem skrupulatnie stłumił większość emocji, jakie nim targwały w środku. Wsunął pieniądze do kieszeni spodni i uniósł się z fotela.

- Dzięki w imieniu Andrzejka i swoim - rzekł. - Do widzenia i zdrowia życzę - powiedział i odprowadzany przez starszego mężczyznę wyszedł na korytarz.

Drzwi zamknęły się za nim, a on udał się do wyjścia z klatki schodowej.

Starszy mężczyzna podszedł do wersalki i uklęknął, wspierając się rękami. Złożył dłonie do modlitwy i zaczął szeptać:

- Panie Boże, wybacz temu chłopakowi, bo nie zda je sobie sprawy z tego, co czyni. Odmień jego serce i spraw, by zmienił swe postępowanie.

Rafi w tym czasie był już przy ławce, na której leżał Zbychu. Klepnął go w ramię i zawołał:

- Wstawaj. Idziemy zatankować - zawołał.

Zbychu zamląskał sucho ustami i otworzył oczy. Wyglądał na kogoś właśnie wybudzonego ze snu. Jego pijany wzrok wyłowił rozpięty w palcach dwóch dłoni banknot pięćdziesięciozłotowy, jaki trzymał przed nim Rafi.

- Rafi, ty czarodziej jesteś. Ach, ten twój Andrzejek - wydusił przez spieczone gardło i zaśmiał się głośno.

Kilka minut później siedzieli na tej samej ławce, trzymając w dłoniach plastikowe kubki i pijąc z nich wódkę.

- Niedobra ta wódka - skrzywił się Rafi po wychyleniu kolejnego kubka.

- Co ty mówisz. Wódzka cukiereczek.

- Co ty tam wiesz.

Rafi zamyślił się. Przeniósł się myślami do wizyty u starszego mężczyzny i coś nim targnęło. Gdzieś w środku poczuł nieprzyjemne uczucie, jakie miewają niegrzeczne dzieci przyłapano na czynieniu psoty. Było to coś jak lekkie ukłucie gdzieś między sercem a łopatką. Znał to uczucie jeszcze z czasów wczesnej

młodości, gdy mama karciała go za różne występki. Teraz podążył myślami za tym wspomnieniem i zobaczył w myślach raz jeszcze swą matkę klęczącą przy łóżku i modlącą się o zdrowie syna.

- Zbychu?

- No?

- To ja jestem Andrzejek! - krzyknął Rafi pijackim tonem. - Rozumiesz?!

- Jak to ty?

- Byłem dziś u jakiegoś dziada, co chciał się modlić za Andrzejkiem.

Zbychu słabo już kontaktował z rzeczywistością. Po raz kolejny przetarł uperlone potem czoło i popatrzył tępo na Rafiego, który mówił dalej:

- Ten staruch przypomniał mi o moje matce. Ona też się za mnie modliła tak, jak ten stary. Potrafiła tak całymi dniami.

- I co?

- Ja miałem guza w głowie - głos Rafiego stawał się rozedrgany. - I matka wymodliła, że teraz żyję.

- Zalewasz. Polej lepiej.

Starszy mężczyzna stał przy oknie i zza firanki spoglądał na pijanych mężczyzn siedzących na ławce przed blokiem. Do jego uszu dochodziła rozmowa, jaką prowadzili. Spojrzał nieco wyżej na wieczorne niebo rozpostarte nad sąsiednim blokiem.

- Panie, wybacz im - szepnął starszy mężczyzna.

- No toś farciarz, że matka ci wymodliła - bełkotał Zbychu. - Lej lepiej - podsunął kubek pod butelkę.

- Nie rozumiesz! Ona się dalej modli - zawołał Rafi. Jego głos drgał jak szarpana struna. - Ale teraz się modli, abym nie pił - zamachnął się i trzasnął butelką o ziemię.

Setki drobinek szkła rozsypało się po chodniku. Wzrok starszej pani siedzącej kilka ławek dalej błyskawicznie powędrował w stronę ławki Zbycha i Rafiego.

- Spiły się gnoje i szaleją - rzekła starsza pani do swej koleżanki.

Rafi wstał z ławki i mocno się zataczając, udał się w stronę swego domu.

Życiowe wyzwanie

Siedział przy jednym stoliku wraz z Tomkiem i Zuzą. W tym trzyosobowym składzie zazwyczaj spożywali lunch w barze szybkiej obsługi. Budynek firmy, w której pracowali, znajdował się po drugiej stronie ulicy. Każdego dnia roboczego o godzinie 12:30 opuszczali biuro na pół godziny, aby razem coś zjeść.

- Jak tam planujecie weekend? - zapytał Tomek.

- Ja to klasyk - rzekła Zuza. - Jadę z dziećmi nad wodę. Przy tych temperaturach to nie mam innych opcji.

- A ty, Romek?

Nie lubił tego pytania. Za każdym razem, gdy ktoś go o to pytał, próbował dać inną, barwną odpowiedź, w której pytający nie wyczułby niezwykle silnej potrzeby pozostania na weekend w domu.

- A no wiesz - odparł. - Remont przedpokoju mi się szykuje. Zapowiada się, że ten weekend spędzę

na majsterkowaniu. Już zamówiłem część materiałów, a reszta dojdzie pewnie dziś wieczorem.

Zuza wymieniła z Tomkiem porozumiewawcze spojrzenie. Za długo się znali, aby Romek mógł ukryć przed nimi ten wspólny mianownik łączący każdą z odpowiedzi na pytanie o spędzeniu czasu w weekend.

- No bez jaj - Tomek zawołał oburzonym tonem. - Trzydzieści pięć stopni na termometrze, a ty się za remont bierzesz?

Na twarzy Romka zarysował się wyraz speszzenia. Bardzo pragnął, aby dali mu spokój.

- Materiały już zamówione. To co zrobię? - próbował się bronić.

- Dajcie spokój. Czas wracać - Zuza wskazała zegar na ścianie.

I tak to z nim było. Przy każdym pytaniu o wyjście z domu gdzieś indziej niż do pracy Romek niczym sportowy narciarz w kombinacji alpejskiej robił coraz to nowe zwroty i skręty, tak aby wyśliźnąć się z tego tematu. Po takim szosowaniu często czuł się zmęczony, a gdy pytający coraz bardziej naciskał, wychodził do toalety, w której spędzał na tyle długi czas, że rozmówca zapominał o tym, o co w ogóle go pytał.

Nikt jednak nigdy nie spytał go wprost o prawdziwą przyczynę pozostawania w domu. Romek zdawał sobie jednak sprawę, że kiedyś może spodziewać się tego pytania. Bardzo bał się, że ktoś może odkryć prawdziwą przyczynę jego sekretu.

Gdyby był to tylko sekret, na pewno wyrzuciłby go przy pierwszej okazji. Było to jednak coś więcej niż sekret i coś więcej niż sto sekretów, o czym wiedziała jedna tylko osoba na całym świecie – doktor Paprocka.

– Niech się pan nie wstydzi – mawiała doktor. – Do mnie przychodzi się leczyć pół Bąkocka. Nie jest pan jeden.

I faktycznie w poczekalni doktor Paprockiej zazwyczaj było tłoczno i przychodzili ludzie nie tylko z Bąkocka, lecz także z okolicznych miasteczek. Ta odpowiedź lekarza jednak nie przekonywała go i sprawę swej dolegliwości trzymał w wielkiej tajemnicy.

Problem zdrowotny, z jakim się zmagał, objawiał się w postaci panicznego lęku przed tym, że ktoś obcy zrobi mu krzywdę. U doktor Paprockiej leczył się już dwa lata, podczas których zażył wiele różnego rodzaju lekarstw. Żadne z nich jednak nie zdołały jeszcze zatrzymać napadów lęku. Czasem lekko tłumiły uczucie strachu, a czasem nawet go nasilały. Romek wciąż czekał na cudowny lek, który by mu pomógł.

– Wie pan, te leki jednym pomagają, a innym nie. Pana organizm jest niezwykle... – doktor zamyśliła się, a po chwili rzekła – odporny. Musimy dalej próbować.

Najbezpieczniej czuł się we własnym domu. W drodze powrotnej z pracy robił zakupy w pobliskim sklepie, a po przyjsciu zamykał się w domu i wychodził z niego dopiero następnego dnia do pracy. Sąsiedzi

mówili o nim dziwak, choć każdy z nich, gdy porozmawiał z Romkiem twarzą w twarz, nie zauważał nic, co odbiegałoby w jakiś sposób u niego od normy.

Droga do pracy była dla niego prawdziwym torem z przeszkodami. Uczucie panicznego strachu zaczynało się jeszcze przed opuszczeniem domu i narastało z każdą minutą zbliżającą go do wyjścia. Gdy nadszedł moment, w którym miał opuścić mieszkanie, odmawiał krótką modlitwę w myślach, i dopiero po tym ruszał w drogę do pracy. Pilnie monitorował wszystkie osoby idące tym samym chodnikiem co on. W klatce piersiowej ścisnęło go, a wzrok biegał w lewo i w prawo ciągle sprawdzając, czy jest w zasięgu wzroku ktoś, kto mógłby zrobić mu krzywdę.

Bał się osób młodych oraz pijaków w każdym wieku. Z uczuciem lęku zdążył oswoić się na tyle, że żadnym ruchem swego ciała nie zdradzał, że się boi. Jednego czego nie mógł ukryć to wystraszonej miny i lękliwego spojrzenia.

W pracy znacznie się rozluźniał. Czuł się tam bezpiecznie. Dopiero wyjście na lunch wlewało w niego trochę strachu, gdy miał przejść na drugą stronę ulicy do baru. Czekał więc na Zuzę albo Tomka, aby móc z nimi przejść te kilka metrów razem. Towarzystwo drugiej osoby sprawiało, że czuł się nieco pewniej.

Na jakąś godzinę przed końcem pracy jego myśli na powrót stawały się lękliwe i przypominały mu wszystkie ulice, jakie miał pokonać w drodze do domu. Odległość kilku przecznic, którą pokonywał nienaturalnie

szybkim krokiem, była dla niego jak dziesiątki kilometrów drogi przez niebezpieczną dżunglę. W rzeczywistości dystans ten był niecałym kilometrem przez centrum miasta w środku dnia.

Pewnego czwartkowego popołudnia, który nie różnił się wiele od innych popołudni, Romek wracał swym szybkim krokiem z pracy. Powoli zaczął się lekko rozluźniać, gdyż na horyzoncie widział już budynek swego domu. Tego dnia nie robił zakupów, więc nie zatrzymywał się przy swym ulubionym sklepie. Wbiegł po schodach na drugie piętro, na którym mieszkał, zgarnął pocztę ze skrzynki na listy i otworzył drzwi mieszkania.

W mieszkaniu ściągnął buty i opadł bezwładnie na kanapę:

- Wreszcie w domu - szepnął z ulgą.

Rozprostował nogi i wsparł je na niewielkiej pufie. Strach, jaki odczuwał poza domem, sprawiał, że mięśnie jego ciała napinały się samoczynnie i po pewnym czasie napięcie to powodowało uczucie odrętwienia. Najbardziej odczuwał ten stan w nogach, których odrętwienie sprawiało mu lekki ból.

Przebiegł wzrokiem po poczcie wyciągniętej ze skrzynki. Dwie reklamy, rachunek z gazowni i jakaś biała koperta bez nadawcy. Reklamy zręcznym ruchem wrzucił do kosza, a rachunek z gazowni położył na stoliku przy kanapie. Białej kopercie przyglądał się przez krótki czas, po czym rozerwał ją wzdłuż i wyciągnął z niej stylowy brokatowy kartonik. Prze-

biegł wzrokiem po tekście napisanym na papierze. Na jego twarzy pojawił się pierwszy tego dnia szczerzy uśmiech.

Brokatowy kartonik był zaproszeniem na zjazd absolwentów szkoły. W jednej chwili odżyły w nim liczne wspomnienia szkolne, jedne przepychały się przez drugie, tworząc w nim przyjemne uczucie wspomnień czegoś miłego.

Oczami wyobraźni widział twarz Bolka, kolegi ze szkolnej ławki, widział też twarze Cypisa, Kety i Wołkovej, z którymi w piątkę tworzyli zgraną paczkę.

- Jak oni mogą wyglądać, teraz, po dwudziestu latach - pomyślał.

Rzucił raz jeszcze wzrokiem na papier a wtedy momentalnie, niczym mechaniczne zapadki jakiejś maszyny, włączyły się jego lękowe mechanizmy. Jego wzrok padł na miejsce spotkania, którym był Karotów, miasto, gdzie znajdowała się szkoła, gdzie się wychował i do którego to miasta dzieliło go całe pięćdziesiąt kilometrów.

Strach rozpędził się jak potężna lokomotywa, wywołując na przemian fale gorąca i zimna. Pięćdziesiąt kilometrów było dystansem, którego nawet w najoptimistyczniejszym scenariuszu nie mógł pokonać. Chorobowe lęki działały w ten sposób, że nasilały się wprost proporcjonalnie od odległości od domu. Im dalej, tym bardziej się bał.

Nadal trzymał w dłoni brokatowy kartonik. Wewnątrz siebie prowadził potworną walkę, w której na

jednej szali kotłowały się czarne scenariusze, a na drugiej natomiast widział uśmiechnięte twarze Bolka, Cypisa, Kety i Wołkowej.

Od początku swej choroby zdawał sobie sprawę z irracjonalności odczuwanych lęków. Myśl ta jednak nie powodowała, że strach stał się mniejszy. Teraz bardzo chciał go przezwyciężyć, lecz był on zbyt silny. Na każdą próbę odpowiedzi na pytanie, czy pojedzie na zjazd absolwentów, odpowiadał w myślach „NIE”.

Wtedy postanowił dać sobie ostatnią szansę. Zamknął oczy i pomodlił się szczerze, prosząc Boga o podjęcie decyzji. Następnie wyciągnął z kieszeni spodni pięciozłotową monetę i szepnął pod nosem:

- Jak będzie orzeł, to jadę.

Znów krótko się pomodlił, po czym wziął niewielki zamach i pstryknął monetą w powietrze. Ta obróciła się kilkukrotnie, po czym opadła sztywno na dywan. Podążył wzrokiem w dół. Serce załomotało mu niebezpiecznie mocno i wiedział już, że tej nocy nie zaśnie. Orzeł niczym mroczny wyrok mienił mu się w okrągłych od strachu oczach.

Następnego dnia rano był mocno niewyspany. Noc, podczas której przewracał się w łóżku z boku na bok, nie mogła dać mu odpoczynienia. Wciąż nieustannie myślał o wyjeździe do Karotowa. Zmęczenie i stres odcisnęły na jego twarzy swe znamię na tyle wyraźne, że zauważyli to również jego znajomi z pracy.

- Romek, słabo wyglądasz - podczas lunchu oznajmiła mu Zuza.

- Zacząłeś już remont? - zapytał Tomek.

- Nie - pokręcił przecząco głową. - Nie mogłem w nocy zasnąć.

Nie chciał powiedzieć im o wyprawie na zjazd absolwentów. Takie opowiadanie o wyjeździe było swego rodzaju deklaracją, której niedotrzymanie uruchamiało lawinę wyjaśnień. Gdzieś w głębi siebie próbował zachować sobie furtkę bezpieczeństwa, która pozwalała wyjść bez szwanku, gdyby jednak nie zdecydował się pojechać.

Od wyjazdu dzieliło go osiem dni. Postanowił solidnie się do niego przygotować. Usiadł przy komputerze i dokładnie sprawdził całą trasę podróży. Nie posiadał samochodu i z tego powodu jedynym środkiem transportu był dla niego miejski transport publiczny, którego nie znosił. Dokładnie rozrysował sobie trasę podróży, włączając w to scenariusze, gdyby jeden środek transportu zawiódł.

Odczuwał strach niemal permanentnie. Najmocniej doskwierał mu w nocy, gdy bezskutecznie próbował zasnąć. Wtedy każdy lęk jak za powiększeniem magicznego oczka lupy stawał się gigantyczny. Gdy zasnął, śniły mu się koszmary o tym, że został napadnięty, czy że jakieś młodziki były go pięściami po twarzy.

Dzień za dniem rozmyślał o wyjeździe. Im bliżej był daty wyjazdu, tym mocniej się stresował. Coraz częściej w jego głowie pojawiała się myśl o tym, aby zrezygnować.

- Przecież nikomu nie powiedziałaś. Nikt się nie dowie, gdy zrezygnujesz - podpowiadały myśli.

Walczył z nimi na wiele sposobów: poprzez odciążenie uwagi na coś innego, poprzez racjonalne wytłumaczenie, czy poprzez modlitwę. Trzymał się kurczowo tego, że musi pojechać.

Dwa dni przed tym wydarzeniem spotkał go sąsiad.

- Oj. Licho pan wygląda, panie Romku - przywitał go.

- Jak to licho? - zapytał.

- Na twarzy pan zeszczupłał. A i oczy ma pan podkrążone. Wszystko w porządku?

- W najlepszym porządku - przytaknął.

Po tym spotkaniu z sąsiadem Romek wyciągnął z szafy starą wagę łazienkową. Postanowił się zważyć. Jego standardowy ciężar to 85 kilogramów. Teraz wszedł na wagę i spojrzął na wskaźnik. Pokazywał zaledwie 79 kilogramów.

- Nie jest dobrze - pomyślał i schował przyrząd z powrotem do szafy.

W czwartek miał wizytę u doktor Paprockiej. Wahał się wielokrotnie przed tym, czy powiedzieć jej o wyjeździe. Ostatecznie zdecydował się mówić.

- To wspaniale, panie Romku - ucieszyła się doktor.

- Gratuluję decyzji. Proszę śmiało jechać i niczego się nie bać.

- Będzie dobrze. Dam radę. Na pewno - odparł.

Pozostało mu już tylko jedno wyjście do pracy, a potem czekał na niego wyjazd. Podczas lunchu znów padło pytanie o weekend.

- Gdzie spędzacie weekend? - zapytał Tomek.

- Standardowo, mąż, dzieciaki i woda - westchnęła Zuza.

Wzrok Tomka i Zuzy przeniósł się na Romka.

- A ja - wahał się przez moment - a ja jeszcze nie wiem - odpowiedział nieśmiało.

Ta odpowiedź była dla jego współpracowników czymś zupełnie nowym. Spodziewali się raczej kolejnego remontu, wizyty rodziny, choroby czy czegoś innego, co mogłoby wytłumaczyć, pozostanie ich kolegi w domu na weekend. Coś wisiało w powietrzu i tylko Romek wiedział, co to było.

Po kolejnej nocy wypełnionej przewracaniem się na łóżku z boku na bok nadszedł wreszcie dzień wyjazdu. Romek był tak zmęczony, że cieszył się z tego, że ten dzień już nastał. Wstał z łóżka i rozpoczął się przygotowywać. Po kąpieli i lekkim śniadaniu włożył na siebie garnitur. Tego poranka cały czas starał się myśleć o czymś przyjemnym. W wyobraźni wracał do Bolka, Cypisa, Kety i Wołkowej, nie mogąc uwierzyć w to, że po wielu latach będzie mógł znów ich spotkać.

Wreszcie wybiła godzina wyjścia z domu. Odmówił modlitwę, potem wziął do ręki niewielką torbę i wyszedł z mieszkania. Strach mdlił go gdzieś w okolicy żołądka, powodując spinywanie się mięśni. Wyszedł na główną ulicę miasta, ciągle monitorując przechodniów przed nim. Do stacji kolejowej miał jakieś trzysta metrów. Przemierzał ulice swym niezwykle szybkim

krokiem. W głowie pulsował mu lęk, który zaczynał przybierać coraz to bardziej paniczną postać.

Skręcił w ulicę prowadzącą do dworca kolejowego i nagle zamarł. Tuż przed nim także w stronę dworca szedł bardzo wolnym krokiem postawny mężczyzna z puszką piwa w dłoni. Romek zbladł, a ciarki strachu przeleciały przez niego na wskroś. Typ przed nim wyglądał bardzo groźnie i bardzo zaczepnie. W oczach Romka zagościł najgorszy rodzaj strachu, który mocno z impetem wwiercał się w niego.

Momentalnie skręcił w najbliższą ulicę. Nie była to ulica po drodze, lecz dawała mu szczyptę bezpieczeństwa w rozszalałym stanie lękowym. Ulica była długa bez żadnej możliwości skręcenia w stronę dworca kolejowego. Twarz Romka zmieniła się jeszcze jednym strachliwym grymasem, gdy spojrzał na zegarek. Za siedem minut odjeżdżał jego pociąg.

Przyspieszył jeszcze bardziej kroku. Gdy dotarł do końca ulicy, skręcił w lewo, a potem jeszcze raz w lewo. Zza mijanego wielkiego gmachu zobaczył wyłaniający się budynek dworca. Aby zdążyć na pociąg, zaczął biec. Wbiegł na stację kolejową i przeleciał wzrokiem po tablicy odjazdów. Jego pociąg odchodził z czwartego peronu. Skierował się do przejścia podziemnego.

Huczenie strachu w głowie nasiliło się jeszcze bardziej, bo gdy wszedł na peron, to zobaczył przed sobą grupę jakichś sześćdziesięciu głośnych żołnierzy. Mieli na plecach kolorowe chusty świadczące o tym,

że zakończyli służbę w wojsku. Wielu z nich pociągało piwo z puszek i donośnie śpiewało jakieś żołnierskie przyśpiewki.

Miał już dość. Czuł, jak pot ciurkiem spływał mu po plecach wzdłuż linii kręgosłupa. Nie wiedział co robić, uciekać czy zostać. Nadjechał upragniony pociąg, do którego wsiedli głośni i pijani żołnierze. Po chwili wahania wsiadł również on.

Usiadł w wagonie najdalej położonym od tego, do którego wsiadali żołnierze. To jednak nie uchroniło go przed konfrontacją nimi, gdyż zaraz po tym, gdy pociąg ruszył, głośne towarzystwo żołnierzy przemieściło się do jego wagonu.

Błądził wzrokiem po suficie i po bagażach ułożonych na górnych półkach. Serce mocnymi uderzeniami wybijało szybki rytm. Potarł dłońmi oczy, w których czuł pieczenie spowodowane niewyspaniem. Chciał uciekać.

Do ubikacji bał się wyjść, gdyż widział stojących przy niej trzech głośno rozmawiających żołnierzy. Czuł się osaczony. W myślach rozpoczął modlitwę, w której prosił Boga o opiekę. Na słowo „Amen” rzucił spojrzenie na zegarek. Za minutę miał już wsiadać.

Podерwał się z miejsca, wziął w dłoń swą torbę i starając się nie potrącić nikogo, wyszedł na korytarz.

- Eee, koleś. Napijesz się z nami? - usłyszał za plecami głos.

Odwrócił się bardzo ostrożnie, starając się jak najbardziej opanować. Nieprzyjemne spojrzenie jednego z rezerwistów wędrowało po nim od głowy po buty. Żołnierz wyciągnął puszkę z piwem w jego stronę i wybełkotał:

- No pij. Za cywili.

Romek nie mógł się opanować. Zaczął lekko trząść się, a jego cichutki głos rzekł tylko:

- Nie. Dziękuję.

W tej chwili pociąg rozpoczął hamować, na co oboje złapali się za poręcz. Spiker w głośniku ogłosił przyjazd pociągu, na co kilka osób podeszło w stronę wyjścia. Zaraz potem drzwi otworzyły się, a Romek jak spłoszona sarna skoczył przez nie na zewnątrz.

Tym sposobem dotarł do Karotowa. Znał tę stację i to znał bardzo dobrze, gdyż będąc dzieckiem, interesował się koleją i często odwiedzał ten dworzec. Poczł lekko chłodny powiew na twarzy. Zaciągnął się powietrzem, a część z jego ściśniętych mięśni zaczęła się lekko rozluźniać. Cieszył się, że najgorszą część drogi ma już za sobą.

Udał się na przystanek autobusowy, skąd miał pojechać wprost do szkoły. Na przystanku zauważył trzy głośno rozmawiające młode osoby. Były to wulgarne dialogi przerywane spluwaniem na ziemię. Dwóch młodzików miało szaliki przewieszane przez szyję. Zwierzęca forma strachu na powrót nawiedziła Romka.

Zrobił kilka kroków na bok, odsuwając się, jak mógł tylko najdalej od głośnego towarzystwa. Z nadzieją wypatrywał autobusu. Sekundy wlokły mu się jak godziny i za nic nie chciały przyspieszyć. Odwrócił się plecami do przystanku i czekał tak w bezruchu.

Gdy autobus nadjechał, wszedł do środka. Hałasująca trójka pozostała na zewnątrz. Skasował bilet i usiadł. Opadając na oparcie krzeselka autobusowego, poczuł zimno na plecach, które wskazywało na to, jak bardzo koszula przemoknięta jest od potu.

Wreszcie dotarł na miejsce. Budynek szkoły wydawał mu się być jak bezpieczna przystań, do której właśnie wpływał. Wszedł na szkolny dziedziniec, gdzie przy popielnicy stało kilka osób i paliło papierosy. Nagle za swoimi plecami usłyszał znajomy głos:

- No niech mnie szlag trafi. Toż to Romi we własnej osobie!

Gdy usłyszał swój szkolny pseudonim „Romi”, zrobiło mu się niezwykle miło. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę w średnim wieku, który uśmiechał się do niego. Znał ten uśmiech i wyglądał on tak samo, jak dwadzieścia lat temu.

- Bolek! - zawołał wesoło Romek.

To była bardzo trudna wyprawa Romka do Karotowa, z której powrócił jak zwycięzca. Pokonał drogę, pokonał lęki i pokonał wreszcie samego siebie. Nie przypuszczał, że może zwyciężyć tę próbę, którą traktował jak życiowe wyzwanie. Czuł się bohaterem

sam dla siebie. Każdy lęk, jaki odczuwał podczas drogi, teraz zamieniał się w podwójną radość, którą sycił się do ostatka.

- Jak tam po weekendzie? - zapytał Tomek podczas lunchu.

- Nad wodą byliśmy - rzekła Zuza. - Straszny tłok był, jakby jednego dnia cały Bąkock zapragnął się kąpać.

- A ty, Romek?

Romek uniósł wzrok znad szklanki z oranżadą i rzekł naturalnym, spokojnym tonem:

- A byłem na zjeździe absolwentów - odpowiedział, jakby to było coś zupełnie zwykłego.

Zuza wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Tomkiem. Przez chwilę nikt nic nie mówił, po czym Tomek zawołał głośno:

- No bez jaj! Byłeś?! - nie dowierzał. - Opowiadaj!

Romek uśmiechnął się nieznacznie. Czuł się jak jeden z nich i to uczucie było dla niego najcenniejszym uczuciem z tej wyprawy. A potem opowiedział o tym, jaki Bolek wykręcił numer na zjeździe, jak Wołkowa tańczyła na stole i jak Keta zabawiał towarzystwo.

Sortownia szczęścia

Wezwanie na wojskową komisję lekarską dostaliśmy z Benem tego samego dnia. Pamiętam ten dzień dokładnie. Beno przybiegł wtedy do mnie i szybko łapiąc oddech, zawołał od drzwi:

- Dostałem wezwanie! Na komisję, tą od wojska!

Był tak przejęty, jakby dostał wezwanie wprost na jakąś linię frontu. Ścisnął w dłoni białą kopertę i gapił się na mnie, jakby oczekiwał, że coś mogę z tym wezwaniem zrobić. Sięgnąłem wtedy na kuchenny kredens i pokazałem mu taką samą kopertę.

- Ty też?! - zapytał, a zaraz po tym dodał z wyrzutem. - Przecież takich ja ty nie biorą.

„Takich jak ja” oznaczało w wypowiedzi Bena chorych psychicznie. Miałem ochotę go serdecznie zdzielić w łeb, lecz wybaczyłem mu, bo wyglądał na bardzo przejętego i najzwyczajniej mógł nie poczuć taktu. Zresztą Beno też chorował. Nic wielkiego, lekka depresja. Był czas, gdy chodziliśmy do porad-

ni razem. Potem on wrócił na życiowe tory i pojechał dalej, gdy ja wciąż stałem daleko na bocznicy jak mały, zardzewiały wagon.

- Nie panikuj - uspokajałem go. - To tylko komisja lekarska, a nie wezwanie do służby. Jak się będziesz uczył, to cię nie zgarną.

Trochę to go uspokoiło, lecz nadal widziałem, że siedzi w nim lęk. Był bardzo czytelny w swej mimice czy gestach i patrząc na niego, człowiek zawsze wiedział, czego się po nim spodziewać. Gdy mu kiedyś o tym powiedziałem, to stwierdził, że mam jakieś urojenia. Urojenia, czy nie, czytałem z niego z taką łatwością, z jaką czytam artykuł w gazecie.

Dwa tygodnie później siedzieliśmy razem na korytarzu w budynku Wojskowej Komisji Uzuppełnień. Było nas tam znacznie więcej chłopaków, młodych, silnych i odważnych, przed którymi świat kłaniał się w pas. Jednak spoglądając nieco pod powierzchnię tej młodości, siły i odwagi, to każdy z nas na swój sposób się bał. Niektórzy zgrywali się, jak mogli, aby tylko zatuszować swój strach. Z tego powodu w korytarzu co chwilę ktoś kłął, opowiadał dowcip czy głośno dyskutował.

- Ty to masz szczęście, że do wojska cię nie wezmą
- Beno szturchnął mnie ramieniem.

- Nie cykaj, Beno - próbowałem go uspokoić. - Jak masz dokumentację z poradni, to może ci się też udać.

- To moja cała nadzieja - westchnął cicho.

Podszedł do nas jakiś chudzielec i usiadł na krześle obok.

- Podobno do tyłka zaglądamy - wskazał na drzwi, w których zasiadała komisja.

Beno zniesmaczył się nieco i rzekł:

- Niech zaglądamy gdzie chcą, byle by dali odpowiednią kategorię.

Drzwi gabinetu komisji otworzyły się. Wszedł z nich tęgi mężczyzna z okrągłą łysą głową. W prawej ręce trzymał listę, z której wyczytał nazwiska:

- Wąchalski, Kacyk, Jurkiewicz!

Chudzielec podskoczył na krześle jak ukłuty igłą w tyłek, po czym wstał i wszedł do gabinetu. Zaraz za nim weszło jeszcze dwóch chłopaków.

- Wiesz, ja im powiem, że dalej mam myśli samobójcze - rzekł Beno, a w jego głosie słychać było obawę.

- A masz? - zapytałem.

Spojrzał na mnie z ukosa. Zmarszczył nos, jakby chciał mi pokazać, że zagrałem w jego czuły klawisz, jakim była prawdomówność.

- Beno - pokiwałem przecząco głową. - Tylko im tam nie kłam. To nie przystoi.

Skrzywił się jeszcze bardziej, wyciskając całą swą złość na swej młodej twarzy.

- A niech cię - machnął ręką w powietrzu.

W korytarzu zaczynało robić się tłoczno. Rozmowy zlewały się ze sobą, zamieniając się w gwar. Jedni przekrzykiwali drugich, ktoś nawet zaczął coś śpiewać. Drzwi gabinetu komisji znów się otworzyły i wyszło z niego trzech chłopaków.

- Mielecki, Paczkowski, Krokiet! - zawołał łysy mężczyzna, wychylając się zza drzwi gabinetu.

Kilka głosów zaśmiało się z ostatniego nazwiska, a jakiś dowcipniś zawołał do tego:

- Jeszcze Barszczyka pan zapomniał.

Łysy mężczyzna zrobił groźną minę.

- Co?! - ryknął łysy.

- Bo krokiet to z barszczykiem jest najlepszy! - zawołał dowcipniś i cały korytarz wypełnił się szyderczym śmiechem.

Śmiali się chyba wszyscy oprócz wysokiego muskularnego chłopaka z zawstydzoną miną, do którego nazwisko to pewnie należało, a który po chwili zniknął w głębi gabinetu komisji razem z łysym mężczyzną.

Siedzieliśmy tam jeszcze z godzinę. Widziałem, jak Beno męczy się i traci siły z każdą minutą w tym stresowym czekaniu. Zupełnie jakby był oponą z malutką dziurką, z której powoli uchodziło powietrze. Tak z niego uchodziła nadzieja na to, że uda mu się zdobyć wymarzoną kategorię D. Przy każdym wywoływaniu nazwisk spinał się i nasłuchiwał, lecz jego nazwisko nie padało. Gdy wtedy patrzyłem na niego w tym korytarzu, wydał mi się dziwnie kruchy i słaby, jak suchy patyk.

Wreszcie padło nazwisko Bena. A po dwóch następnych kolejkach padło i moje. Oboje dowiedzieliśmy się, co skrywa się za drzwiami gabinetu komisji. Dowiedzieliśmy się też, do czego służy parawan

w rogu gabinetu. Choć każdy z nas dostał sprawiedliwie to, co mu się należało, oboje czuliśmy się trochę nieswojo.

- Ty szczęściarzu - rzekł do mnie Beno, gdy wyszedłem z gabinetu.

Wracaliśmy do domu w milczeniu. Beno kopał przed sobą niewielki kamyk. Smucił się kategorią A, która otwierała mu drzwi do poboru wojskowego. Mi doskwierało to, że kategorii A nigdy mieć nie będę. Wzbierała we mnie złość na Bena i na takich jak on, którym chętnie wcisnąłbym w twarz to, co Beno nazywał u mnie „szczęściem”.